



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

OD REDAKCYI.

W roku przyszłym w dziale literackim „Bluszczu” zamieścimy kolejno, uprzejmie nam przyobiecane prace:

Elizy Orzeszkowej,
Bolesława Prusa (nowella),
Piotra Chmielowskiego,
Adama Krechowieckiego,

Szczęsnej: „Jan Kochanowski o kobiecie,” „Kobieta w dziełach Sienkiewicza,” „Betlehemskie Baśnie” poezye prozą; — rozszerzymy oraz zakres naszych „korrespondencyi” w sprawie działalności kobiet.

SMUTNO MI BOŻE!

Smutno mi Boże, że tyle serc płacze
Na życie tęskne, na życie tułacze...
Że kielich żalu, że kielich zawodu
Goryczą truje już ludzi od młodu,
Że tyle bólu w tym świata przestworze —
Smutno mi Bożel!

Każdy przejść musi własne życia boje,
Gorycz, żalobę, i trudy, i znoje;
Musi tu przebyć swą życia tułaczkę
Musi, choć z trudem, popychać swę taczkę,
Musi powtórzyć i po stokroć może:
Smutno mi Bożel...

Smutno! ach smutniej gdy zwątpień gorycze
Osiedą chmurą młodzieńcze oblicze,
Gdy marzeń roje rzucone ofiarnie
Nie wstaną czynem, rozproszą się marnie,
Gdy prawdy Twojej nie świecą im zorze,
Smutno mi Bożel!

Kwiaty zerwane, bez plonu, przedwcześnie,
Serca z nadziei odarte boleśnie,
Życia złamane, ocean niedoli,
Ach, mnie to wszystko, mnie to bardzo boli,
I choć mój rozjęk nic im nie pomoże,
Smutno mi Bożel!....

M. B.

LUBRANCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

(Dalszy ciąg).

*

*

Następnych dni kilka zajętych było na przygotowanie do ślubnego obrzędu, na przymierzanie sukien listownie zamawianych, odbieraniu i oglądaniu obstalunków zrobionych przed paru tygodniami. Przez delikatność czy też przez zapomnienie nie używano Henryka do żadnego interesu. Był swobodny, nie widział nikogo ze swoich najbliższych.

Ostatniego dnia przed ślubem, na wyraźne życzenie ojca poszedł wieczorem do pani Zeneidy.

Smutno było i ponuro w banalnym salonie hotelowym, gdzie każdy myślał o czym innym, nieufny i niedowierzający względem drugich. Jadwinia była zamyślona i mało mówiąca, denerwowała ją ciągła uwaga Lubranieckiego, który ją ani na krok nie odstępował. Przeglądała może po raz setny karty wizytowe i różne drobiazgi w nieładzie rozrzucone po stole, nie wiedząc co w ręku trzyma, a gdy ją doszedł głos Henryka rozmawiającego z panią Zeneidą albo Szańską, ręce jej drżały i jakieś dziwne uczucie zatrzymywało oddech i dławilo. Był ciągle w jej myślach od czasu gdy go po raz ostatni widziała w Lubrancach; był, a choć odsuwany z pamięci i wspomnień, wrastał do serca uczuciem gwałtownym i niewytłómaczonym, które ognistymi głoskami kresliło się w rozbującej wyobraźni, rozdelikacych nerwach i krwi południowej, rozbudził echa drzemające na dnie serca, tem dźwięczniejsze i bogatsze w tony, że dotąd ich jeszcze nikt nie poruszył, że się nie rozdzielały na mniejsze uczucia i wrażenia, ale wybuchły od razu, przez fantazję nerwów czy losu, i zlały się wszystkie w niepowstrzymany nieczem hymn miłości dla Henryka. Zkąd to uczucie takie niespodziewane i jeszcze nieświadome swego istnienia? Może z kaprysu kobiet żyjących dla wrażeń, które tylko tego pragną usilnie czego osiągnąć nie mogą, tych kochają, którzy się od nich odwracają i są straceni. A może oddawna, powoli i nieświadomie gromadził się w jej sercu cały zasób uczuć se decywnych i gwałtownych, lecz Henryk w swoich oznakach przywiązania nie był natrafił przedtem na odpowiednie słowo zaklęcia, któreby powołało do życia ten świat dla niej nowy, czarodziejski. Nie zdawała sobie sprawy ze swoich uczuć i myśli, obojętniała tylko i odosobniała się od otoczenia i warunków zewnętrznych, nie wiedziała co jej jest, czuła się tylko bardzo nieszczęśliwą. Pomimo to nikt nie przypuszczał jej wewnętrznego nastroju. Była uśmiechnięta, spokojna i uprzejma, obojętna i mało mówiąca, ale nikt się nad tem nie zastanawiał.

Szańska Henryka na bok odprowadziła i mówiła półgłosem:

— Mój drogi, chciałam pojechać do ciebie jak się to wszystko już skończy. Nie chciałam wracać do Lubranców, nie chcę być w „jej” domu, to byłoby zawiadką dla mnie przykrością.

Nie kryła przed nim swojego niezadowolenia, wiedziała, że on jeden podzieli jej zapatrywania w tym względzie.

— Naturalnie, inaczej być nawet nie może. Będę najszczęśliwszy, jeżeli cię obok siebie mieć będę, przecież obiecałem twemu mężowi, że opiekę we mnie znajdziesz. Będziemy sobie razem mieszkali, spokojnie, na wsi, zdaleka od całego światowego zamętu, przy zajęciach jakich wieś dostarcza, chciałam, żebyś się czuła w Woszatyńcach zadowolona i jak u siebie.

Szańskie na wspomnienie męża oczy łzami zaszyły. Biedny, co on teraz robi, czy aby myśli o niej ten jej towarzysz kochający i wyrozumiały, na któ-

rym tak wygodnie i dobrze oprzeć się było można tej istotce chwiejnej a potrzebującej podpory!

Henryk zauważył jej wzruszenie.

— Jak będziesz ubrana jutro, Helenko? — spytał. Wiedział, że rozmową o ubraniu zatrze poprzednie wrażenia. — Czy już gotowa twoja suknia?

— Nie jeszcze, ale zdaje mi się, że będzie bardzo ładna, Popielata morowa, przesłiczny odcień, ubrana cieniowanymi strusimi piórami, przesłiczna, zobaczysz, nawet tobie, coś taki wybredny podobać się będzie.

I rzeczywiście tak jak Henryk przepowiedział pierzchała chmura smutku i tęsknoty z ładnej twarzyeczki okolonej zwojami złotych włosów, zajęła się żywo opisywaniem szczegółów toalety, na obmyślanie której zeszła jej niejedna noc bezsenne.

Pomimo, że tylko kilka osób było w salonie, nie zebrano się w jedno kółko, rozmowa się rwała, czuć było przymus i pewne zakłopotanie. Henryk jasno sobie zdawał sprawę, że to on był tym żywiołem niepotrzebnym, dysonansem, zakłócającym harmonię młodej, choć nie bardzo dobranej pary.

I on czuł się nieswój, jakoś mu było duszno, ciasno i parno w tej rodzinnej atmosferze. To też przebywszy przeciąg czasu przez konwenans wymagany, pożegnał towarzystwo i wyszedł spiesźnie. Gwar ulicy i świeże powietrze zdawało się go ożywiać po ciężkiej niemocy i przygnębieniu, budzić ze snu przykrego, w którym go dręczyły widziadła przeszłości, dalekie i nieprzyjemne, po których gdy się budzimy, zostaje radość, że to był tylko sen.

Na drugi dzień o godzinie jedenastej rano przed kościół Wizytek zajechało kilka karet, cicho, bez stuku, bez zamieszania i nawoływań! gdyż mała była ich liczba i porządek łatwy do utrzymania.

Służba i konie przybrane były w pomarańczowe białe kwiaty, herb Lubranieckich ozdabiał uprząże i liberye. Do kościoła tych tylko wpuszczano, którzy okazali drukowane zawiadomienie. Jednak pomimo to ciekawych zebrała się ilość znaczna. Każdy dążył z zajęciem, by zobaczyć apoteozę „kwestyi Lubranieckich” jedni myśleli, że to będzie zakończenie całej historii, drudzy, że to dopiero początek więcej zajmujących i ciekawych epizodów. Nie jeden młody człowiek zapinając żakiet przed lustrem i robiąc przegląd swojej postaci, przyznawał sobie zewnętrzną wyższość nad Lubranieckim i kombinował dalej, że jeżeli przyszła hrabina Lubraniecka zamieniając syna na ojca okazała tak wiele praktycznego zmysłu i brawury, to może i później akcyę tej „kwestyi” rozszerzy na dalszy zakres, może przy trzech osobach będących głównymi tej „kwestyi” aktorami znajdzie się niespodzianie i... ktoś czwarty.

Orszak weselny ustawił się w progu kościoła, miano dalej ruszyć parami, czekano jeszcze na kogoś spóźnionego, który dopiero z karety wysiadał. Szańska tymczasem układała pannie młodej welon, przez drogę trochę zmięty.

Jadwinia w ślubnej sukni wyglądała prześlicznie. Zgrabna jej figura rysowała się harmonijnie i estetycznie w powłóczyściej gładkiej białej sukni, i rysy delikatne jak wyrzeźbione miały kształt i spokój greckiego posagu. Bez zakłopotania i ze swobodą opierała się na ramieniu Lubranieckiego, który ją do ołtarza sam miał poprowadzić.

Przez krótką chwilę, którą na progu stała, doszło ją kilka słów z pomiędzy ludzi stojących na ulicy.

— Ach! Jaka piękna!

— Jakby z obrazka zeszła!

— Żywy posąg!

— Patrz, patrz, ojciec ją do ołtarza prowadzi, a pan młody z matką idzie za nią. Dziwne.

Ostatnie słowa niemile nią wstrząsnęły, Henryk stał za nią i podawał ramię pani Zeneidzie, brano go za pana młodego. Dziwny zbieg. Rozmaite sprzeczne myśli zaczęły się bezładnie tłoczyć do jej głowy i burzyć przymusowy spokój otrzymany z tak wielkim trudem, przez usunięcie chwilowe wszelkich myśli.

Zagrano *Veni Creator* i ruszono w stronę ołtarza. Ale Jadwinia swoich myśli i wrażeń uspokoić już nie mogła. Poważny śpiew i muzyka płynęły spokojnie, fale ich harmonijnych dźwięków okalały wyobraźnię, jakby jakąś atmosferą podniecającą a pełną uroków, ołtarz się zbliżał, był coraz większy i majestatyczny, jakby groźny i ponury wspo-

mnieniem trumien stawianych u jego stóp, poważny, w stroju swym ze świateł i kwiatów, tajemniczy a wabiący, bo na jego stopniach zawiązywała się dola lub niedola na ciąg całego życia. Jadwinie coraz większy strach ogarniał przed ostatecznym ważnym krokiem. Straszno jakoś i ciemno, a postać Henryka bezprzestannie po myślach się płączy, serce się do niej wyrывa, tęskni, żałuje kroków nierozważnych, wyrachowań egoistycznych a mylnych, i szczęścia straconego dobrowolnie, lecz przeszłość się już nie wróci, czynów odwołać nie można.

Stanęli wszyscy przed ołtarzem, czekano na koniec śpiewu.

„Jestem jeszcze wolna! Świat cały stoi przedemną!” uporeczywie sobie w myśli powtarzała. Brała ją chęć gwałtowna uciec przed tym decydującym krokiem, który ją dopiero w ostatniej chwili przejął swoją ważnością i przestraszyl, dawał rozpacz bez punktu wyjścia i nadziei.

Tak. Odwróci się od ołtarza, ucieknie przed tym związkiem takim wstrętym i potwornym, biedzie szybko, przed siebie, w jakąś przestrzeń szeroką i nieokreśloną, daleko, do blasku, i światła, swobody i szczęścia, gdziekolwiek, choćby na koniec świata, gdzie będzie odurzenie i szal zycia! Tu, w tym kościele smutno i ponuro, niema blasku słońca, któryby oslepił i rozgrzewał, tylko świece z złotym odbłyśkiem pałą się przy niej jak przy umarłej... Tak. Cofnąć się! Uciekać jak najprędzej, do szczęścia... i jako wyraz tego szczęścia stanęła w jej myśli postać Henryka... Ale Henryk odwróci się od niej... przecież odebrał uczucie a dał wzgardę... Już jej nie wróci swego serca... Choć ucieknie ztąd od ołtarza, ale nie ucieknie od swego nieszczęścia, nie opuści jej wyrzut sumienia, tęsknota i żal, i to uczucie dane jej przez ironię losu, bujną wyobraźnię i podrażnione nerwy, na pokutę i ukaranie.

A choćby się cofnęła i o rodzinie Lubranieckich nie chciała wiedzieć więcej, gdzie pójdzie? Co zrobi z sobą na świecie, wśród którego samotnie nigdy się nie obracała, niewolnica wychowania pracować nie umie, niepraktyczna i bezradna, nie umiejąca się nawet ubrać bez cudzej pomocy! Coby zrobiła sama wśród ludzi? Napewnoby zginęła lub byłoby więcej nieszczęśliwa. Nie. Cofnąć się nie może, już choćby tylko dla chleba, dla zapewnienia sobie egzystencji musi iść dalej i przysięgać Lubranieckiemu miłość i posłuszeństwo.

Minęła chwila pierwszego wrażenia, cichły powoli rozpacz i wzburzenie, przyszło trochę zastanowienia i równowagi.

Po co ma rozpacz i poddawać się przygnębieniu? Jaki? Czyżby jakieś uczucie mogło być od niej silniejsze? Czyż się okaże tak słabą i niekonsekwentną, że odrzuci to, do czego skierowała wszystkie swoje myśli i dążenia? Przecież powinna czuć się dumną i szczęśliwą ze swego zwycięstwa, przecież dopięła swego, jest hrabiną Lubraniecką, bogatą i na stanowisku, dla niej honory i blask świata, zabawy i powodzenie! Czyż jej się umysł zaciemnił, że chciała rzucić to wszystko? Ha! ha! Jest przecie u szczytu! Zwycięzca, który idzie po wieniec z wawrzynu, nie powinien myśleć o ranach w boju otrzymanych, ale tylko o tem, że zwyciężył!

I znów Jadwinia była sobą, wyniosła i pewna siebie, pani swoich myśli i czynów.

Tymczasem ceremonia już się rozpoczęła, Jadwinia wykonywała machinalnie wszystko co przez rytuał przepisane, powtarzała za księdzem nie zastanawiając się nad treścią:

„a iż cię nie opuszcza aż do śmierci” naraz zdźwięczało niaprzjemnie, przejęło znów strachem i świadomością, że chodzi tu o całe życie. Tu dopiero zauważyła, że rękę jej stulą związaną trzyma Lubraniecki, który oprócz wstrętu i odrazy nie budził w niej innych uczuć i pod tem dotknięciem dreszcz nią wstrząsł nieprzyjemny, miała ochotę strząsnąć jak coś odrażające, co obejmowało jej dłoń... ale już było zapóźno—ceremonia się skończyła.

*

*

*

Tydzień zaledwie upłynął a pałacik Lubranieckich w Warszawie zupełnie odmienną przybrał po-

stać. Wyglądał ożywiony i napełniony ruchem, był przybrany gustownie i zalotnie. Spodziewano się tego wieczora dość znacznej liczby osób, gdyż dawano wystawny obiad, oficjalne przyjęcie na uczczenie instalacji młodej hrabiny Lubranieckiej w domu jej męża.

Była w dobrym humorze, zadowolona, że wszystkie honory na niej spoczywają, i że uwaga ogólna do niej wyłącznie będzie skierowana. Od rana krzątała się gorliwie, wydawała szczegółowe rozporządzenia, obmyślała zmiany w rozstawieniu kwiatów i mebli. W parę dni po tem przyjęciu miano powrócić do Lubrańców.

O siódmej, choć jeszcze widno było, przy zapuszczonych storach pokoje oświetlono, goście już byli zebrani w komplecie.

Niedługo później podano do stołu. Jadwinia ze swobodą i wdziękiem wywiązywała się z obowiązków pani domu. Nie miała nieśmiałości i zaleknienia młodych mężatek, które się jeszcze nie przyzwyczyły do swojej nowej roli.

W samotnych długich godzinach, których tak wiele w Lubrańcach spędziła, obmyślała już poszczególne sceny do odegrania na stanowisku hrabiny Lubranieckiej; i taką przejdającą przy stole widziała się także już nieraz w myślach swoich, nadającą ton całej rozmowie, umiejętnie na wszystkie strony rzucając sprytne zdania, by nawiązać myśl zajmującą a nie wymuszoną, niebardzo głośno i niepretensjonalnie, bez pozoru chęci wyróżnienia się i brylowania, a jednak jakby pomimo woli zwracając ogólną uwagę.

Drzwi od oranżeryi były otwarte, grała tam muzyka ukryta wśród roślin. Melodye wesołe i lekkie następowały jedne za drugimi, kołysały wyobraźnię i falą wachlarzy z piór, poruszanych jakby rytmicznie, muskając ładne twarzyczki i figurki, w ładnych dekolowanych sukniach i biżuteriach.

Jadwinie muzyka odurzała, budziła chęć, by w jej przedkiem tempie wirować równie prędko, z przyróżnieniami oczyma, gdzieś w dal nieokreśloną a wabiącą. Henryk jej co chwila na myśl przychodził, bała się zwrócić oczy na to miejsce, na którym siedział, ażeby odwrócić natrętne myśli i wrażenia z podwójnem zajęciem zwracała się do swego sąsiada.

Lubraniecki siedział naprzeciwko i nie spuszczał oczów ze swojej żony. Muzyka głuszyła jej słowa, widział tylko ożywienie na jej twarzy i to mu się wielce nie podobało. Zaniedbywał swoją sąsiadkę, pytania rzucał przez stół, chciał, o ile to było możebne należeć do rozmowy swojej żony.

Pod koniec obiadu Jadwinia to zauważyła i doznała nieprzyjemnego wrażenia. Drażniła ją ta uwaga, która jej żadnej nie robiła przyjemności, przeczuwała, że te oczy tak uporeczywie w nią wlepione patrzyły i patrzeć będą tylko po to, by ruchy jej krępować, kontrolować spojrzenia, ziębić uśmiechy i paraliżować wybuchy wesołości i życia.

Po obiedzie, gdy się wszyscy rozproszyli w różne strony salonu, Gogo A. przyjaciel Henryka zbliżył się do Jadwini.

— Państwo zapewne do Warszawy na zimę przyjadą? — rzekł — karnawał w tym roku zapowiada się bardzo ożywiony.

— O nie, — rzekł Lubraniecki, który już stał przy swojej żonie i wyprzedził ją w odpowiedzi. — Nie będziemy z Lubrańców wcale wyjeżdżali. Moją żonę bardzo męczy życie światowe.

Jadwinia była podrażniona, nie nie odpowiedziała, tylko w myśli zrobiła sobie tę uwagę, że niema planu, któregooby nawet na minutę przed wykonaniem zmienić nie było można.

Zaledwie na krótką chwilę przedłużyła się rozmowa we troje prowadzona, nad którą panował pewien przymus. Ktoś czwarty się przybliżył, Gogo A. nieznacznie przyłuszczył się do weselejszej grupy, by się móżdż pochwalić jakimś dowcipem, sformułowanym na prędce kosztem Lubranieckiego.

Wieczór ten, na którym Jadwinia zakładała tak wiele przyjemności, dostarczył jej tylko wrażeń przykrych i zatrważających na przyszłość. Czuła na sobie bezprzestannie dozorujący ją wzrok Lubranieckiego, głos jego bezdźwięczny i nosowy przerywał każdą rozmowę, w chwili gdy zaczynała być coraz więcej zajmującą i ożywioną, i zdawało jej się, że na każdej twarzy dostrzega błędzący

uśmiech złośliwy, szydzący z niefortunnnej roli Lubranieckiego, zazdrosnego męża z komedyi.

A trzeba było wywiązywać się z obowiązków pani domu, do wszystkich uśmiechać się uprzejmie, podtrzymywać dobry humor zgromadzeniu.

Przypomniła sobie, że obecny właśnie książę Janusz, ma ładny głos, i chętnie śpiewa w towarzystwie.

— Mam nadzieję, że książę nam co zaśpiewa rzekła zbliżając się do niego — stęskniłam się trochę za głosem księcia.

Znała go już od lat kilku, spotykała nieraz u pani Zeneidy w Paryżu i Florencyi. Był to wysoki blondyn, z włosami bardzo długimi i cienkimi, które pokręcał i układał prawie bezprzestannie, ruchem spokojnym, zdającym się mówić, że pewnym jest powodzenia. Znany był z polowań w Azji i Afryce, i umiejętności opowiadania swoich myśliwskich wrażeń w sposób zajmujący i dowiecny.

— Doprawdy? Czyż pani o mnie i o moim śpiewie myślała kiedykolwiek? — odrzekł, kierując się za nią w stronę fortepianu.

— Czasem. Może częściej niż książę przypuszcza, — mówiła uśmiechając się zalotnie i nie patrząc na księcia Janusza. Należał on kiedyś do szczupłej bardzo liczby wybranych, których wyróżniała sympatya kilkudniowa.

Tymczasem jakaś starsza dama zajęła Lubranieckiego rozmową na temat dobroczynności, i nie mógł w żaden sposób, pomimo najszczerzych chęci, podążyć za Jadwiną. I widział jak oni tam we dwoje przerzucali nuty leżące na fortepianie, uśmiechali się do siebie i rozmawiali widocznie o czymś bardzo zajmującym bo na nuty nie zwracali prawie żadnej uwagi i nie spieszo im było do śpiewu. Pewno Jadwinia będzie mu akompaniowała, bo książę Janusz tego nie umie i zawsze w tym względzie o pomoc prosi.

— Przytulki nocne są u nas bardzo zaniedbane — mówiła starsza dama — trzeba temu jakoś zaradzić.

— O tak, bezwarunkowo, trzeba zaradzić — potwierdził Lubraniecki i patrzył wciąż na ożywioną twarz swojej żony.

To rzecz zupełnie zbyteczna, myślał sobie, żeby młody człowiek śpiewał młodej kobiecie jakieś bezsensowne słowa miłości, gdyż taka jest zwykłe treść salonowych piosenek. A wtórując muzyką i o zgodną myśl nietrudno.

Przy fortepianie nuty leniwie przeglądano ale za to rozmawiano z ożywieniem.

— A możeby to książę zaśpiewał — rzekła Jadwinia wskazując na znany romans baronowej Rothschild, tak często śpiewany, a jednak zawsze bardzo ładny.

Książę Janusz kartki przerzucał i czytał półgłosem słowa pieśni:

Si vous n'avez rien à me dire
Pourquoi venir auprès de moi,
Pourquoi me faire ce sourire
Qui tournerait la tête au roi...

— Wiersz ten lubię bardzo — rzekł gdy czytać skończył. — Można go często do życia stosować. Czyż nie czuje się nieraz żalu za jakiś uśmiech prześliczny, który napróżno poruszył i zachwycił, i więcej się nie powtórzył...

I patrzył na nią jakby chciał prosić by taką jak w tej chwili była dla niego i nadał, by ten flirt przypadkowy powtórzył się jeszcze, by nie przebrzmiał bez echa jak wiele innych.

Si vous n'avez rien à me dire
Pourquoi venir auprès de moi...

Jadwinia powtórzyła to jakby do siebie.

— Tak — rzekła. — Ale jeżeli nie można nie powiedzieć ani się nawet uśmiechnąć, w takim razie żalu mieć nie należy.

— Tylko dla nieudolnych i trwożliwych istnieją zapory.

Jadwinia udała, że nie słyszała ostatnich słów księcia Janusza i zaczęła rozmawiać o czym innem.

Kącikami oczów obserwowała Lubranieckiego. Widziała jego niepokój i ogromną chęć przzerwania jej rozmowy z księciem Januszem. Śmiać jej się nareszcie z tego chciało, i z pewną złośliwą intencją, przedłużała wybieranie nut do śpiewu. Książę

że Janusz nie nie miał przeciwko temu, Jadwinia była najpiękniejszą z pomiędzy zebranych kobiet.

Wyjątkowo ładnie dnia tego wyglądała. Miała suknię jasno-niebieską, gładką, obejmującą bez żadnej fałszywej zmarszczki jej zręczną figurę, jedyną ozdobą była szarfa morowa, która ją przewiązywała w pasie i gubiła się między fałdami sukni.

Oprócz brylantowych kołczyków, daru ślubnego jej męża, nie miała innych biżuterij. Było to wynikiem dyplomacyi Lubranieckiego, który wszystkie rodzinne klejnoty, szczerze opieczetowane, oddał do banku na przechowanie, rozumując sobie, że jeżeli taki sprytny frant jakim był Mefisto, dla podsunęcia Małgorzacie złych myśli, zaczął od podsuwania kosztowności, to i każda inna kobieta, Jadwinie nie wyłączając, będąc w ich posiadaniu może marzyć, a nawet żądać by móżdż się w nie stroić jak najczęściej, podobać się i zachwycać, a co za tem idzie bawić się i bywać w świecie, to byłoby zaś jak dla niego, bardzo niepożądane i nużące.

Po rozmaitych strategicznych manewrach, Lubraniecki zdał bawienie starszej damy na kogoś obok nich przechodzącego i w parę sekund znalazł się przy Jadwinie.

— Widzę, że masz zamiar akompaniować księciu — rzekł — ale nie radziłbym ci się brać do tego. Nie grasz tak wprawnie, żebyś mogła nieznana rzecz zagrać od razu dobrze.

Jadwinia zrozumiała w tej radzie kategoryczne żądanie by nie grała. Z pewnem wyzwaniem w oczach i złym uśmiechem siadła do fortepianu i zagrała pierwsze akordy introdukcji.

— Spróbować zawsze można — rzekła. Ale równocześnie spotkała błagający wzrok Lubranieckiego, który już nie nie mówił tylko patrzył na nią z wyrazem głębokiej przykrości.

Jadwini żal się go zrobiło.

— Rzeczywiście, bo dla mnie zatrudne, może kto inny lepiej odemnie grający będzie księciu akompaniował, — rzekła nagle wstając od fortepianu, pochnięta jakimś poczuciem instynktownem i niewyrozumowanym, naturalnym ruchem serca, które powstrzymywało ją czasem od wyrządzenia nawet cienia przykrości komuś obojętnemu zupełnie, a cichło i chowało się gdzieś głęboko wtedy, kiedy tylko sercem i przez serce działać należało.

Książę Janusz się uśmiechnął i oddalił.

Gniew Jadwini doszedł do zenitu, gdy po rozejściu się gości Lubraniecki zapytał ją tonem dosyć despotycznym o treść jej rozmowy z księciem Januszem.

Wień takie miało być jej życie? Skrepowane ciągłą czujnością i niewiarą męża zazdrosnego? Takie szczęście, w dodatku z perspektywą ciągłego w nudnych Lubrańcach pobytu? Gdzie szła zabaw i przyjemności, zadowolenie i rozrywki? Chyba nie w Lubrańcach i nie w towarzystwie tego wstrętnego człowieka, którego cień staje między nią, a światem. Zastania blaski szczęścia, ciche krępować myśli i młodości żywe porwy! Czyżby się omyliła w swojej rachubie, a wielki majątek, do którego dążyła pomimo wszystko, nie dał jej tego, co się otrzymać spodziewała? Wszystko dobrze obliczyła tylko osoby samego Lubranieckiego nie brała nigdy w rachubę; teraz on sam jej się przypominał, w sposób zatrważający. Chciał być celem jej życia, a ona go dotąd miała tylko za środek do dopięcia celu.

Pytanie Lubranieckiego zbyła trochę żartem, trochę ogólnikami o śpiewie i muzyce, którą przytoczyła jako treść swojej rozmowy.

Z niecierpliwością, nie zdając sobie bardzo sprawy z tego co czyni, krzątała się po pokojach, i ku wielkiemu zdziwieniu służby, która się nie spodziewała po młodej pani takiej gorliwości, ustawiała krzesła i drobiazgi, ze swego miejsca przez gości poruszone. Robiła to pośpiesznie i bez zastanowienia, chodziło jej tylko by się oddalić i przerwać rozmowę z Lubranieckim, nie słysząc jego głosu i nie być zmuszoną panować nad sobą, dawać spokojnych i uprzejmych odpowiedzi, kiedy burza gniewu i zawodu wstrząsała nią do głębi.

Kilka razy powtarzała służbie, żeby powóz na ósmą rano był gotowy, gdyż pani Zeneida wyjeżdżała już zagranicę.

Na drugi dzień o ósmej rano wszyscy Lubranieccy zgromadzeni byli na wiedeńskim Bahnhofie, by pożegnać panią Zeneidę. Odjeżdżała uśmiechnię-

ta, kontenta z siebie i z drugih. Wszystko stało się według jej myśli, a pobyt w Lubrańcach choć dobrze nudny ale wydał swoje owoce. Pozbyła się opieki nad Jadwiną, w sposób łatwy i niekosztowny, gdyż nawet wyprawa jej zamawiana była na rachunek przyszłej hrabiny Lubrańcekiej, uspokoiła się o swego brata, że mu ze strony kobiet zły woli nie grozi żadne niebezpieczeństwo, że już nie ma obawy by wprowadził do rodziny jakiś obcy niepożądany żywioł, zostawiła za sobą samych przyjaciół i nie zaciągnęła żadnego długu, a otrzymawszy letnie czynsze dzierżawne ze swoich majątków, jechała znowu w świat szeroki, szukać rozrywek i wrażeń, uśmiechnięta i swobodna, żywymi ruchami i ubiorem umiejętnie zastosowanym, nadając sobie jeszcze pozory młodości.

Jadwinia z rodzajem żalu żegnała swoją ciotkę. Przecież to było jej pierwsze i jedyne serdeczne przywiązanie, źródło szczęścia i świadomości życia szerokiego i swobodnego! Przywiązanie to w ostatnich czasach jakoś się rozchwiało i zamarło, niepodzielone i niepodtrzymywane, bez kierunku i zachęty. Ale zawsze kiedyś było, zostawiło wdzięczność i wspomnienie, i teraz przy rozstaniu napęniało serce żalem i smutkiem.

Myślała też sobie, że pani Zeneida powraca do życia ptaków wędrownych, które sobie ścielą gniazda na każdym wybrzeżu, gdzie tylko znajdują trochę kwiatów i zieleni; że będzie szczęśliwa i swobodna... a przed nią coż stoi? gorzkie owoce nierozważnego, egoistycznego kroku, jakaś przyszłość za mgłą szarą i bezbarwną, uczucie tęsknoty za czemś drogiem i straconem, i myśl bezprzestanna o Henryku, tem silniej powracająca im więcej odpychana i oddalana, która serce żałością ścisną, umysł gnębi, odbiera mu siłę i chęć do walki.

— Ale ciocia o nas nie zapomni, odwiedzi nas kiedy? — rzekła, gdy pani Zeneida wsiadła do wozu i przez okno z niemi rozmawiała.

— Jeżeli mi się jaki dom spali — odrzekła ze śmiechem, napół żartem, a napół seryo.

W kilka sekund później pociąg ruszył.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Jesteśmy w pełni sezonu muzycznego, który drga wszystkimi nerwami młodzieńczego swego istnienia, świadczy o żywotności własnej i każe się spodziewać coraz większego rozwoju. Z przyjemnością w całym tym ruchu stwierdzić możemy pocieszające objawy zamiłowania publiczności w głębszych dziełach artystycznych; znaczy to, iż się poziom wymagań estetycznych wzniosł o wiele: z poziomu tego dziś szerszy już widnokrąg można wzrokiem objąć i jego światła ocenić.

Na pierwszym miejscu w kronice niniejszej zapisać należy wieczer historyczny muzyki polskiej, urządzony w towarzystwie muzycznym przez p. Aleksandra Polińskiego; był to koncert, obejmujący polską literaturę muzyczną z trzystu lat jej istnienia. Ten zarys historyczny streścił świetnie dzieje naszej twórczości muzycznej, która posiada w sobie tyle natchnienia, talentów prawdziwych i polotu, że się dłużej nad tym przedmiotem nader wdzięcznym zastanowić wypada.

Bardzo trafnie scharakteryzował utwory starodawnej muzyki naszej p. Wł. Bogusławski, mówiąc, iż dzieła te są „do tańca i różańca,“ rozszerzone dodatkiem z oracyi p. Marcina „i do korda zawsze chwata.“ O pieśni religijnej — mówi tenże wytrawny estetyk, — iż najpiękniej brzmi ona w muzyce polskiej odzywając się echem zasadniczego nastroju duszy polskiej. Nie ustępuje ona pod względem polotu i natchnienia ówczesnej muzyce religijnej w Europie i ma ten sam charakter wielkiej powagi, wielkiego zbiorowego ukorzenia się przed Bogiem, bez indywidualnego w modlitwie patosu, który jest produktem nowszych czasów.

W chronologicznym porządku przyjrzelśmy się zbliska tym malowidłom prostym, a stylowym; z py-

łu dawnych książnic, z głębi starych foliów wydobyto na jaw rzeczy nieznane, zinstrumentowano i opracowano je z zamilowaniem i prawdziwą umiejętnością. O pieniąch religijnych, sięgających złotego okresu Zygmuntońskiego, wiedzieliśmy wszyscy oddawna i wsłuchiwalismy się nieraz w piękności tych prześlicznych utworów; o śpiewach solowych, tańcach i pieśniach bobaterskich z przed trzech wieków — wiadomości nasze były nader skąpe. Z drobnych okrucieństw potrzeba było odtworzyć całość i takową w formie odpowiednią przyodziać — i powstał ztąd koncert historyczny bardzo pouczający i bardzo piękny zarazem.

Zdziwiony bogactwem programu, zapytałem inicjatora koncertu, p. A. Polińskiego, kto mu dostarczył tak cennego materiału? Wykształcony i pracowity krytyk w te mi odpowiedział słowa:

„Książnice: krajowe, wiedeńskie, berlińskie, drezdeńskie, bolońskie; kapituły: krakowska, poznańska i gnieźnieńska; strychy dworów wiejskich, zapiecki izb organistów prowincjonalnych; różne śmietniki bibliotek poklasztornych — oto moi nauczyciele sumienni i wytrawni. Część zbiorów zawdzięczam profesorowi Hieronimowi Łopacińskiemu z Lublina; szanowny profesor znalazł sam tabulaturę organową z XVI w., dał mi ją do odcyfrowania: — odnalazłem w niej jedyne w literaturze naszej utwory taneczne z XVI w.“

Niektóre z tych zabytków, porozrzucanych po świecie, srodze czas uszkodził, cząstka pieśni doszła bez tekstu. Poliński wszystko to do ładu doprowadził harmonicznie opracował, załatał, co było dziurawego, dopisał wiersze, których brakowało i częścią sam zinstrumentował, częścią inni, według jego wskazówek, zgodnie z archeologią muzyczną, tego dokonali. Część pierwszą programu rozpoczęła orkiestra wykonaniem czterech tańców z XVI w., wśród których znalazły się ulubione niegdyś formy taneczne: *Cenar*, *Hajduki*, *Trepak* — zabytki w swoim rodzaju jedyne, jakie do nas doszły. Drugą serię tańców stanowiły: *Krakowiacek* i *Wyrwanie* Simonusa (w. XVI), któregośmy dotąd nie znali.

Taniec *Chłopski* i śliczna *Melodya* Mikołaja z Krakowa (r. 1541) również nieznanego autora, Bourré (autor z 17 stulecia) — w instrumentacji p. Polińskiego wypadły doskonale. Kto nie pamięta nazwiska Walentego Bekwarka (1515—1576), nadwornego lutnisty Zygmunta Augusta? żyje on w pamięci społeczeństwa z wiersza: „Nie każdy weźmie po Bekwarku lutnię.“ Utwory wszakże jego odszukał p. Poliński dopiero przed kilku laty w bibliotece bolońskiej. Śliczna jest „Medytacja“ Bekwarka oraz inne tegoż utwory. Pieśni chóralne przedstawiały się nader zajmująco. Najciekawsze były: „Pieśń o Piaście,“ „Nagrobek Barbary Radziwiłłówny i cudowna pieśń“ Zakłutą się tarciem.“ Drugą serię pieśni wypełniły utwory słynnych muzyków: „*Agnus*“ Marcina Lwowieckiego (1540—1589), pieśń Jana Dzikiego (1561), *Psalm* Gomółki i *Ave X.* Gorczyckiego. Chór męski „Lira“ zaprodukował piękną pieśń bobaterską o Karolu Chodkiewiczu z 1662 i wspaniałe *Gaude* Jana Aleksandra z Gorczyzna (1660).

Ciekawość i zajęcie budziły dwie piękne kompozycje Jana Sylwiusza Białeckiego (1684—1750). Białecki był słynnym swego czasu lutnistą i kompozytorem. W 1708 r. towarzyszył księciu Aleksandrowi Sobieskiemu w podróży do Włoch, gdzie rychło wstąpił się, jako znakomity lutnista. Jakiś czas bawił na dworze Augusta II Sasa, następnie w Berlinie, gdzie zyskał wielkie powodzenie w szerokich kołach wyższego świata. Ojciec, brat i syn Białeckiego odznaczałi się również talentem wybitnym. Powodzenie w Niemczech zwróciło Białeckim głowę, — wyparli się kraju rodzinnego, zmienili nazwisko na niemieckie Weiss i zgermanizowali się wszyscy.

Solowe pieśni dały pole do popisu p. Aleksandrze Wertheimowej, która z akompaniamentem orkiestry odśpiewała bardzo ładnie „*Ahi me!*“ Wojciecha Długosza z XVI w. oraz „*Dobrą Kasię*“ nieznanego autora z tej samej epoki. Pierwszą z tych pieśni zinstrumentował p. Poliński, drugą — p. Münchheimer — obydwaj bez zarzutu. Oprócz tego p. Wertheimowa wykonała parę pieśni Moniuszki i Zarzyckiego. Na fortepianie towarzyszył utalentowanej amatorce — artystce... Józef Śliwiński, który nadto wykonał wspaniałe kilka utworów Chopina.

Muzykę instrumentalną z XVIII wieku reprezentował Milwid, którego symfonia odznacza się nie-małąmi zaletami. I tego kompozytora odnalazł p. Poliński, jestto jeden z pierwszych symfonistów polskich. Uwertura z opery „*Jadwiga*,“ Kurpińskiego uzupełniła ów pamiętny wieczór, który na długo pozostanie w pamięci tłumnie zgromadzonych słuchaczy.

Niezatarte również wspomnienie pozostawił po sobie młody król fortepianu, Józef Hofman, którego Warszawa wielbi, jako genialnego artystę, i kocha, jako swego syna. Dziecko stało się mężczyzną, pojmującym poezję muzyki i ogarniającym szerokie horyzonty sztuki. Hofman nie jest wykonawcą, wyspecjalizowanym w pewnym jedynie kierunku, to nie jest artysta, który tego lub owego kompozytora gra z większą lub mniejszą predylekcyą — Hofman to mistrz wszechstronny, wszystkie posiada-
jący przymioty wielkiego pianisty.

Przepysznie wykonał Hofman na swoim koncercie Sonatę *As-dur* Beethovena; Mendelsohna grał z romantycznym polotem; Chopina odtwarzał z przedziwną słodyczą liryczną — zamkając w „*Scherzu*,“ (H-moll) porywającą ekspresję. Wogóle, najświeższy występ znakomitego pianisty był nowym tryumfem genialnego talentu.

Wieczory kameralnej muzyki, urządzone przez konserwatorium warszawskie, zasługują na naj-szczerszą pochwałę.

Pierwszy koncert kameralny poświęcony był muzyce włoskiej. Wykonano na nim między innymi: sonatę *G-moll* Tartini'ego i kwintet *C-dur* Boccherini'ego.

Sonatę Tartini'ego odegrali świetnie profesoro-
wie: Barcewicz i Urstein; zjednoczyły się tu w jedną wysoce artystyczną całość i głos skrzypcowy ślicznie prowadzony przez mistrza Barcewicza i fortepian stylowo uwydatniony przez doskonałego pianistę prof. Ursteina.

Kwintet Boccherini'ego nie odznacza się szeroko-
ścią opracowania, dość jest jednak zajmujący pod względem doboru oddzielnych figuracji.

Na drugim koncercie kameralnym publiczność usłyszała dzieła Haydna, Mozarta i Beethovena. „*Ojciec muzyki pokojowej*,“ Haydn rozbrzmiewał prześlicznie w kwartecie *D-dur*, który płynie przezroczystym korytarzem melodii i myśli tłumaczy jasno i zrozumiale. Opracowanie tematu jest proste, a przecież tak szlachetne i piękne. Kwartet *D-moll* Mozarta wypadł bez zarzutu. Wreszcie kwartet *Es-dur* Beethovena, nazwany przez Niemców „*Harfenquartett*,“ napoił słuchaczy czarem niezrównanym.

Występ pianistki Teresy Carreno w towarzystwie muzycznym zapoznał nas z talentem wybitnym, choć nieusprawiedliwiającym tego rozgłosu, jaki zyskała. Artystka ta posiada wielką technikę i brawurę, nieliczącą jednak z nastrojem koncertu *E-moll* Chopina. W grze tej brakowało poezji, bez której Chopina interpretować nie można.

Dopiero w utworach Rubinsteina i Liszta artystka zasłużyła na szczyry oklask, którym ją obdarzono.

W ciągu tego czasu odbył się w sali ratuszowej koncert na benefis Piotra Maszyńskiego, dyrektora „*Lutni*,“ złożonego ciężką chorobą. W koncercie tym wziął udział prof. Michałowski, który był w szerególniejszym usposobieniu i grał szereg utworów Chopina, Mendelsohna i Moszkowskiego wywołując zapal wśród licznych słuchaczy. „*Lutnia*,“ wykonała kilka utworów wokalnych z artyzmem, zwykle ją cechującym. Panna Machwiciówna odśpiewała arję Haendla z wielkim poczuciem stylu; nadto wykonała parę pieśni utalentowanego kompozytora, p. M. Karłowicza; akompaniował sympatycznej artystce niepospolicie prof. Urstein.

Kiedy mowa o dobrym śpiewie, przychodzi na myśl dobra szkoła! Jakże jednak trudną jest rzeczą spotkać obecnie wytrawnego nauczyciela, któryby umiał głos postawić i takowy następnie rozwinąć. Przed dwudziestu laty instytut muzyczny w Warszawie miał wybitnego profesora śpiewu w osobie Ciofeł'ego. Po tym świetnym *maître* pozostało wspomnienie, bardzo poehlebne, — ale oprócz wspomnienia pozostała również uczennica jego, p. Nieborska, przełożona klas żeńskich w konserwatorium. Ta szanowna i cicha pracowniczka wychowała cały zastęp śpiewaczek, które obecnie zdobywają laury na różnych scenach zagranicą.

Obeenie p. Nieborska zaprezentowała najnowszą swoją uczennicę, p. Zofię Godminową. W salonach fabryki fortepianów braci Kerntopów, wobec grona profesorów konserwatorium i krytyków muzycznych odbył się popis pani Godmin, jako śpiewaczki. Popis wykazał tak świetne zalety szkoły p. Nieborskiej, iż w zdumienie wprowadził wszystkich znawców. Głos p. Godminowej, bogaty w koloraturę i piękne brzmienie, o skali olbrzymiej, bo sięgającej górnego *Fa*—pod umiejętnym kierownictwem p. Nieborskiej nabrał precyzji i miękkości, cała zaś interpretacja świadczyła o wykwiutnym smaku mistrzyni. Arya z „Violetty“ i wielka arija z „Fletu zaczerpniętego z Mozarta“ były wykonane prześlicznie. Oklaski hucznie wymownie świadczyły o wrażeniu jakie śpiew wywołał, a serdeczne i powszechne powinszowania, złożone p. Nieborskiej, tłomaczyły dobitnie życzliwość radość, którą względem znakomitej mistrzyni wykazać się starali zachwyceni znawcy.

Przed kilkunastu dniami odbył się w salach re-dutowych koncert Zygmunta Noskowskiego. Sale, natłoczone literalnie słuchaczami, naocznie przekonwały o uznaniu, jakim działalność dyrektora towarzystwa muzycznego w szerokich kołach Warszawy i we wszystkich jej sferach, się cieszy.

O innych sprawach muzycznych—innych razem.

A. Dobrowolski.

Wspomnienie ślubu.

Opowiadanie Ad. Mielezki.

Wśród szarych chwil mego życia i chwiejnej zabójczej samotności nasuwa mi się na pamięć jedna tylko jaśniejsza i uroczystsza chwila, gdyś ty, Marylo, zarzuciła kajdany na moje serce i uwieziłaś mnie twemi ramionami; gdy pierwszy raz ujrzałem błękit twoich oczu, w których wyczytałem nieśmiertelność, a na mych ustach uczułem twój pocałunek.

Nie jestem w stanie wypowiedzieć ci setnej części moich wrażeń i uczuć, które miotwały wtedy moją duszę. W wyobraźni mej, sięgały one najszczytniejszych, najniepodobniejszych czynów, dla szczęścia naszego, szczęścia ludzkości, tak łatwo i naturalnie spełnianych, że nie czułbym w ich wykonaniu, ani zmęczenia ani dumy, i gdyby mi dziękowano za nie, nie rozumiałbym powodu, takie morze błogości zalewało moje własne serce. Byłem wtedy olbrzymem w moich chęciach, którym brakowało tylko twego słowa, twojego uśmiechu, jednego uściśnienia twojej ręki, żebym rozkazywał górą i wznosił piramidy, wierząc w ich wieki trwałość, i nie zwątpił, chyba razem z pomrokiem twoich oczu, bo z ich blaskiem pomierzyłbym, zgasiłaby i reszta dla mnie świata, i nie stałoby go we mnie.

Czy pamiętasz ten dzień, Marylo!

Jak najbliższy obłoczek, czujnem i wrażliwem twem sercem, lepiejbyś to opowiedziała... Podszepnij mi jakie słówko może zapomniane, jaki rys tej chwili, przymglony może we mnie czasem. Twój cień ulatujący nademną, niech mi poszepta o niej, bo wypowiedzieć wszystkiego, powtarzam ci, nie jestem w stanie, w setnej, milionowej części, choć mię prosisz o to.

Pamiętasz?... jednak dziwne, w tej błogiej chwili, było, niepojęte na razie, jedno mgnienie oka dla mnie boleści i wątpienia takiego, że mogłem stracić zmysły. I ty byłaś temu powodem, a ja igraszką twego uczucia, bo nie mogło być inaczej... Pamiętasz?

Było to latem, dzień... mniejsza o datę... lipcowy. Tylko się myślę... prawda; nie był to dzień. Dzień już zagał i nieznacznie zaczynało mierzchnąć, i zorze wybiegały na szafirach miriadami, ciekawe przypatrzeć się tobie i wpleść blaskiem w twój rozmarynowy wianek, w twoją koronkową zasłonę, co falista spływała do twoich stóp, razem z twoim warkoczem, rozprysł jak potok. Gdy przyjechałem do Topolów, siedziby twego ojca i two-

jej, już zaczynało ciemnieć, bo zabroniłaś mi zjawiać się wcześniej, pod grozą „gniewu.“ Rozwiązałaś mi potem tę zagadkę, przyznawszy się, że w półświecie letniego wieczora i przy połysku migoczącym pochodni, chciałaś mi się wydać „jeszcze“ piękniejszą... Czy pamiętasz, jak na tem „jeszcze“, wstrzymałaś się i długie twe rzęsy osłoniły spojrzenie kokietki, i rumieniec wybiegł na twarz twoją takim szkarłatem, że mi aż zbladł?

Czy pamiętasz ten wieczór?

Miesiąc już wschodził, salony zapełniali goście. Nawoływania, dźwięk dzwoneczków, rżenie koni, tłum sług zalegał dziedzinie; zbiegły się dzieci ze wsi i swawoliły z hałasem dokoła klombów przed pałacem... W salonach roziskrzonych światłem, wrzała rozmowa, uśmiechnięte twarze, panie w balowych strojach, elegancka młodzież, wykwiutna, nadskakująca, gwarząc śmiała się wesoło... gdy nagle, jak na skinienie laski czarodziejskiej, zapano-wała cisza i przebiegł szmer ogólnego podziwu.

Znasz styl Siemiradzkiego, jego obrazów koloryt przeświełtłony, jak aureola, lekki, coś biorący z wiatru, który się czuje ale nie widzi, z polotu ptasiego, który oglądamy i nie możemy odczuć, jak sen-nych zjawisk, abstrakcyi dla oka i słuchu... W takim okazałaś się nam świetle w drzwiach rozwar-tych szeroko od twoich pokoi do salonu, gdzie byliśmy zebrani, i gdzie ja, oparty o posąg S-go Kazimierza, ten sam, który potem obrałaś sobie za ideał świętości i umieściłaś w ciszy twego domo-wego ołtarzyka, czekałem na ciebie, a ujrawszy, jak ten święty posąg, pod którym stałem, na chwilę skamieniałem, ośniony. Odbyło się we mnie to, co zapewne odbywa się w duszy, gdy wolna od tu-łactwa swego, z pojęciem nieśmiertelności, i czysta miłością, ginie w wiecznem natchnieniu. Grono druchn otaczało cię orszakiem, jedna od drugiej piękniejszych, białych, błękitnych i różowych; pa-chole w złocistych szatach unosiło kraj długiej twojej białej muslinowej sukni, a stara nianka poprzeda-ła z koszem pełnym rozmarynowych bukietów. Nie wiem kto wtedy dotknął mego ramienia, że się ocknął z mojej kontemplacji, jak z snu, przed twym zjawiskiem. Oparłaś z lekka twe ramie na mojem, ale... nie obdarzyłaś nawet jednym rzutem oka, gdyśmy ukłękli przed twoim ojcem, starym już bardzo, przybranym na ten dzień w swe poczer-niałe szlify generalskie. Natłok taki uczuć wrzał w mej piersi i zalegał głowę chaos myśli, że, sam nie zdając sobie sprawy z mojej czynności, podnio-łem twą rękę do moich oczu i zakryłem je twą dło-nią, na którą spłynęła łza... pałaca nieraz jeszcze powieki me nieoschłe, łza uwielbienia dla ciebie, przewodniczki na mojem rozdrożu, przed którą, jak gwebr przed słońcem, chyliłem czoło, z darami, jakie tylko Bóg zawarł w ludzkim sercu. Starzec podniósł swe chude i blade, jak opłatek, ręce nad naszymi głowami; przypadłaś do jego kolan obej-mując, a on na twojej szyi zawiesił mały czarny krzyżyk, i rzekł: „Niech cię nie opuszcza nigdy. Jest to krzyżyk twojej matki, która ci błogosławi z nieba w tej chwili, razem ze mną.“ Był własno-ścią twoich babek. Twoja matka miała go na so-bie w dniu naszego ślubu i, gdy umarła, spoczywał w jej dłoni. Wziąłem go, gdy ją składał do tru-mny, aby go dziś wręczyć tobie. Niech cię strzeże w doli i niedoli, wolną i niewolnicę, zwyciężką i upa-dającą. Wytrwaj z nim w niezachwianej do końca wierze i niewygasłej nadziei, które przekaż twym wnukom, naszymi godłami. W nich źródło i siła życia.“ Twarz starca oblekała uroczystość. Mó-wił wyraźnie, ale głos jego drżał, jak sygnał wo-dza przed bitwą.

Czy pamiętasz ten wieczór?

Łączyło nas pokrewieństwo sieroctwa. Ja nie miałem nikogo na świecie, ostatni przybłęda w do-mostwie naszym, prócz grobów. Ty znałaś twą matkę, tylko z portretu, zawieszonego w gabinecie twego ojca... Szczególna amalgama mej pamięci: Mgla są jak błękit dali, chociaż tak wszystko głę-bokimi rysami w mem sercu wyryte! Pamiętam i widzę w myśli mej do najbliższego fałdu twego ślubnego welonu, najdrobniejszego kwiatka-poma-rańczy w twem ręku, i czuję jej chłód, gdyś tuliła

ją w mojej rozognionej dłoni, i blask twoich po-wiek, w oczach przepełnionych łzami, i błądząc lic, z których wszystka krew ustąpiła, gdyśmy pochy-leni klęczeli u kolan twego ojca. Ta chwila zawie-rała treść mego życia i jednego z niem przymie-rza; zbiegały się w niej me wszystkie obowiązki, gdybym miał dla nich nawet złożyć kiedy w ofierze własne życie.

Wniesiono wino i ozwały się wiwaty. Stary twój ojciec wznosił pierwszy toast. Za nim, do ust swych dotknęły brzegi puharów, nawet białe, błękitne i różowe druchny. W parku wzbily się rakiety, dojeżdżacz, hajduk, jak gołąb, z białą czupryną, strzelali z zardzewiałego moździerza, odszukanego pomiędzy rupieciami dawnego lamusa, wiwaty przed gankiem. Co żyło we dworze ze służby, oto-czyło nas. Od gromady, weszło dwóch, ofiarując na drewnianej misie osłoniętej rantuchem, chleb i pla-ster miodu, a przed domem, na „grzeczny“ poda-runek dla nowożeńców, na nowe gospodarstwo, sta-ła złotoroga krowa we wstęgach.

Do kościołka w Niewodnicy, fundowanego przez twoich przodków, w którym mieliśmy brać ślub, było kilka wiorst z Topolów, drogą żwirową, przez gęsty las modrzewiowy. Po ślubie zamierzaliśmy wstąpić tylko na chwilę do Topolów... chciałaś jeszcze raz pożegnać dom rodzinny, potem mieliśmy odjechać natychmiast do siebie, dokąd było także parę godzin drogi.

W kościołku przed ołtarzem, zastaliśmy już cze-kającego na nas kapłana, młodego naszego przyja-ciela. Młodzieniec stał zamyślony i smutny, jak-by miał nagle rozplakać się, albo płakał ser-cem może po czemś bardzo drogiem i niepo-wrotnem. Ksiądz był naszym wspólnym znajo-mym od dzieciństwa, i dlatego mogliśmy łat-wo odgadnąć, z kąd pochodzi ta jego błądź obli-eza i zastygła na jego czole zaduma. Był tak młó-dym, tak wysmukłym, tak wiotkim, że w swym bo-gatym ornacie, wyglądał jak jakie dziecko święte. Do wnętrza pałającego jarzaczem światłem kościołka, od bramy, po dwu stronach ścieżki, stały wiejskie dziewczki w świątecznych bindach swych i mere-żonych koszulach, i narzucały pod nogi „panience“ tyle kwiatów, że wystarczyłyby nam na ogród przez całe życie.

Wieczór lipcowy przechodził już w noc i wznie-siony miesiąc ku górze, rozścielał na naszym po-chodzie klejnoty swych blasków, kobierzec, po któ-rym stąpaliśmy... były to gody królewskie. Na sto-pniach ołtarza leżały dwie herbowe poduszki, dar twojej siostry zakonnej, wśród roślin egzotycznych, pnących się od antypedium po gotyckich rzeźbach ołtarza, do szczytu obrazu z Golgotą. Gdyś wy-szła z karety, w której przyjechaliście razem z oj-cem, druźbowie ofiarowali ci swe ramiona, idąc do ołtarza. „Raczej, drodzy panowie, być świadkami naszego szczęścia; nas, do ołtarza, pro-wadzą nasze serca,“ odrzekłaś, wspierając się na mojem ramieniu. Utkwiły mi w pamięci nie tylko same te słowa serdeczne; ich dźwięk brzmi dotąd we mnie... Takem lubił dźwięk twego głosu, podobny do dźwięku srebnego dzwoneczka, dolatujące-go z oddala śpiewu, płaczu słowika, przytłumione-go, który się rwał niedośpiewany, a jednak brzmiał akordem pełnym tej sympatii, jaką miało być na-sze całe życie. Tak jest powtórzyłem: „nasze ser-ce,“ które nie potrzebowały przewodnika na swej drodze, bo wiedziały, że jest nieomylną. Czyż nie błogosławiły nam cienie naszych drogich? Zaliż na głowach naszych nie złożył rąk swych zacny starzec i nie dał nam krzyża, towarzysza doli i nie-doli, zgiętych pod brzemieniem kajdan życia i trwa-jących w próbach, w domowej zagrodzie i pochylo-nych w rozterce nad grobami, w burzach na roz-drożu i pod domową strzechą, u domowego ogniska?

Jakieże barw nie rozstrzuwała przyszłość w mej myśli!

Małeńki organ niewodnicki zaintonował *Veni Creator*, i ja wyszedłem z tobą, Marylo, moją żoną...

Ale stało się w tej chwili, coś przerażającego, niepojętego dla mnie i jednym pociskiem wdarło i zakotłowało bólem, którego, nawet dziś, pierś moja zastygła, nie miałaby, pewno, mocy przeniesić i pękła, gdybym nie wiedział, że było to moją śle-potą i, że nie mogło być inaczej.

Uczułem cię postępującą obok mnie, dziwnie ma-chinalnie; ręka twoja na mojem ramieniu zwieszona,

ledwie dawała czuć swe dotknięcie. Nagle wydała mi się nie dopoznania zmienioną, inną postacią. Nie umiałem dociec powodu tej metamorfozy. Szedłem pomieszany, tyle naraz znalazłem w tobie niewytłumaczonych dla mnie niezem odmiannych, technicznych obojętnością, niechęcią prawie odrzucającą, wiejącą chłodem. Drużki znowu nas otoczyły, dziewczęta sypały kwiaty; ojciec zbliżył się do ciebie, któremu, w milczeniu, nachylił czoło do pocałowania, a gdy podszedł do mnie i podał rękę, nazwał mnie swym synem, spoglądał na niego prawie gniewnie.

Z kościołka brzmiał jeszcze organ hymnem uroczystym. Miesiąc wzbity na sam zenit lał morzem seledynowych blasków. U bramy kościelnej usłyszeliśmy znowu wystrzały łowczego i dojeżdżacza. Goście rozjeżdżając się, znowu składali nam swe życzenia... Mieszanina zapanowała gwaru i ciszy, milczenia i pieśni, radości i powagi.

Ty tylko jedna, w ogólnym chaosie, temu życiu byłaś obcą, jak posąg, którego chłód przejmował mię dreszczem.

Gdy wsiedliśmy do naszego powozu odkrytego (nie chciałaś innego), jeszcze podwoiłaś swą obojętność i oblekałaś się w milczenie uporne, jak bóstwo. Nie pozwoliłaś mi nawet zwykłego uścisku ręki, obnażonej z rękawiczki, na której błyszczała ślubna obrączka...

Czy pamiętasz ten wieczór?

Jak obcy dla siebie, przejechaliśmy las modrzewiowy. W puszczy panowała cisza niezamącona. Czasem tylko parsknął koń który, albo stangret uderzył z długiego bata, jakby jeszcze strzelał na weselne wiwaty; zagerzytały głucho koła po szorstkiej żwirówce, albo doniośle rozjękły dzwoneczki, węgierskiej uprząży... lubiłaś ten rodzaj zaprzęgu i dźwięk dzwoneczków węgierskich.

Powóz ojca wyprzedził nas.

Spieszył on do Topolów, żeby w starym dworze powitać i pożegnać opuszczających jego progi.

Milczałaś, nieprzerwanie.

Co jej? co z nią? — tłoczyło się krocie pytań w mojej głowie niepodobniejszych jedne od drugich; echa przypuszczeń oblegała nawałem najdzikszych domysłów ugniatając pierś i grzęznąc w mózgu. Jeszcze raz zdobyłem się na zadanie ci paru pytań, którym należała odpowiedź zwykłej grzeczności, ale, czy tak istotnie za swoją tajemniczą zadumą nie nie słyszałaś, czyś nie chciała słyszeć na przekór, zawieszona w powietrzu rozprysły w własnym echu. Onieśmielony i nie chcąc wyrządzać ci więcej przykrości, umilkłem także, i patrzyłem w przeciwną stronę. Konie ulatały prawie szalonym kłusem, z świstem przecinając powietrze, które uderzało nam wprost w twarz. Po lesie nie dawał się słyszeć najmniejszy odgłos, chyba spłoszony naszą nagłą jazdą czasem pierzchnął nad nami jakiś ptak nocny i załopotał skrzydłami; drzazga zeszcła, co długo trzymając się konarów, nakoniec spadła z szelestem, oderwana od gałęzi rodzinnej; bąk gdzieś zadudnił w bagnie. Twoje milczenie, ta grobowa cisza leśna, ta noc miesięczna z cieniami porozkładanymi drzew, po drodze leżącymi jak martwe, ta jazda szybka, przejęła mi nie nakoniec do tyła trwoga, że mi zaczynało brakować oddechu i serce się ścisnęło jakimś bajecznym uczuciem. Konie, jakby opanowane wściekłym współzawodnictwem, pędziły; jak duchy północne niepostrzeżenie po stronach mijaliśmy ginące za nami przesieki leśne i polany; minęliśmy ogromny staw, błyszczący łuskami pod blaskiem miesięcznym... Udręczająca ta podróż, zdawała się nie mieć końca. Nareszcie minęliśmy krawędź puszczy.

Na pałacowym ganku powitał nas ojciec.

Starzec czekał w tem samym galowem ubraniu swym, z legią honorową i medalem św. Heleny na piersi. Miesiąc oblewał go swym blaskiem całego. Schodził po stopniach kamiennych zwolna, gdy usunawszy impetycznie moje ramie, którem ci podawał przy wysiadaniu z powozu, rzucił się na szyję. Wszliście do domu we dwoje. Postępowałem za tobą, jak niewolnik za swoją panią. Gorycz mego wyjątkowego położenia nie miała granic, obezwładniała mię do zniemożenia; byłem nią pijany. Nie rozumiałem w mym obłędzie ani tego, co szarpało mem sercem i ścinało krew w ży-

łach, pałac skronie, ani ciebie, która oddalając się do dalszych pokoi, ledwie rzuciłaś, w moją stronę długim, żalostnym i, jak mi się zdawało, pełnym wyrzutu spojrzeniem.

Czyż się miałem, nakoniec, uznać winnym obarczającej mię jakiejś zbrodni, popełnionej bezwiednie?

Po twojem wyjściu, zbliżył się do mnie ojciec twój i rzekł: „Nie czułem się nigdy w życiu większym pustelnikiem, ani tak szczęśliwym; oddaję ci mój skarb. Gdybyś...“ nie dokończył. Oprzytomniony, ucałowałem jego rękę. On ujął mą głowę. Potem, usiadł w swem krześle z poręczami, jego zwykłym miejscu w tej ogromnej sali, i utonął cały w sobie. Ja odstąpiłem do okna, oparłem czoło o marmurowy uszak—i czułem, że tętna mojej skroni, zdolne gorącym swem rozpalić kamień. W głowie mojej wirowało. Dokoła zalegała cisza, straszniejsza może jeszcze, niż w modrzewiowym lesie nocą. Jedynym objawem życia, po oświeconych szeregach sal, był ledwie dający się czuć przewiew wiatru, co wpadając przez pochylane żaluzje, kołysał listkami pokojowych klombów i jedwabnymi sznurami od lampy powieszanymi, albo zamigotał, drasnawszy w przelocie, którym płomykiem w kryształowym pajaku. Starzec wyprostowany siedział w swem krześle z podniesioną głową i patrzył przed siebie... może w jakąś legendę, o której ja nie miałem pojęcia; niekiedy wyrывało mu się z piersi westchnienie, a wtedy opadała głowa, którą znowu podnosił, nieruchomie trzymając.

Tak trwało długo.

Kwadrans może.

Naprózno bym usiłował oddać ówczesną gmatwaninę moich rozmyślań, a raczej niepodobieństwo logicznego wyjścia z ich labiryntu. Były one niewyraźne jak głab, jak sen natrętny, udręczające jak zwątpienie, które podniecała zabójcza niecierpliwość oczekiwania. Nakoniec wyrwał mię z tej niepamięci, dochodzący zdala szmer twych kroków.

Metamorfoza nowa, w jakiej ujrzałem twą postać, cofnęła mię o kilka kroków z przerażeniem, jak przed widmem.

Zamiast ślubnej sukni, okrywał cię czarny gruby szal i kaptur, z pod którego wyglądała ledwie część twarzy. Może to był zwykły twój strój podróży, który przywdziałaś teraz na nocną wycieczkę, jaką mieliśmy jeszcze przed sobą, ale pod wpływem miotających mną i szarpających memi nerwami wrażeń, w przesadnej mej trwodze—powtarzam, cofnąłem się przerażony, i rzuciłem nagłe ku tobie z jękiem prawie. Ale nie miałaś litości... nie zwróciłaś nawet uwagi na mnie, i płacząc, padłaś na kolana przed ojcem. „Zabierają ci, twoją Maryle... a to ten niegodziwy Zygmunt!“ zaszlochałaś, tuląc się do ojca. Starzec drżał i łza, nieogładana może dotąd na jego powiekach, stoczyła mu się po wypiętym ubraniu. „Ojcie, rzekłaś, pobłogosław obojgu; nam czas jechać!“ Stałem niezdecydowany. Nie umiałem słów twych pogodzić z postępowaniem. Zbliżyłaś się do mnie i przyprowadziwszy do ojca: „Kłękniemy, niech nam błogosławi na drogę... życia.“

Ale i tym razem nie chciałaś przyjąć mego ramienia. Wyszłaś z salonu, zatrzymałaś się chwilę w przedsionku, a gdy zajechał powóz, zbiegłaś pędem po schodach, zwróciłaś się jeszcze raz do opuszczanego domu, obrzuciłaś wzrokiem park w okół, i z chustką na oczach, pomału, jakby zrezygnowana, wsiałaś do powozu. Chmurny, zająłem miejsce obok ciebie. Konie zniecierpliwione długim czekaniem, zerwały się z miejsca. Minęliśmy wjazdową aleję i strażniczą wieżyczkę, przy bramie, więc, wyjechaliśmy na bity gościniec... wtedy odjawszy chustkę od oczu, powiewałaś nią, podniesioną ręką, jeszcze w powietrzu, jak żeglarz opuszczający brzeg rodzinny, chociaż go już nikt dostrzedz nie może.

— Maryle, nieśmiało wymówiłem prawie szepem. Nie płacz... uspokój się

I mimowolnie ująłem twoją rękę, zdziwiony, że mi ją zostawiasz, i nie wyrwałaś gniewnie, jak przed chwilą, chociaż twój załzawiony wzrok, błędniał, zwrócony jeszcze ciągle w stronę ojcowskiego domu.

Czy pamiętasz tę noc?

Jak ślepy, gdy mu zdejmą z oczu kataraktę, przejrzałem nagle jasno, i uśmiechnąłem się, jak dziecko, radośnie, gdy zagasło światło nowym przed nim blaskiem rozgore... Jakżem mógł nie odgadnąć twego tak naturalnego dotąd obejścia się ze mną? Jak uroić mogłem jakąś tajemnicę, czy zagadkę, do czego nie miałem najmniejszej podstawy? Jak mogłem wątpić, szalony, i nie zrozumieć tak słusznego, tak prosto dającego się tłumaczyć i usprawiedliwić twego, jakiego byłem powodem, żalu do mnie—rozstania się z domem rodzinnym i ojcem, który uosabiał ci dotąd wszystko, co poruszało twem sercem?... „Dom ojcowski to mała ojczyzna,“ słusznie mi potem mówiła...

Nakoniec ująłem nie Arjadny; mogłem znaleźć sposób ukojenia cię słowem, trzeźwiącem gorycz uczucia przemagającego chwilowo:

— Jeżeli chcesz, wrócimy.

— Nie, nie, jedźmy.

Staralaś się uspokoić sama.

Ale miejsca, któreśmy przebywali, były ci jeszcze tak bardzo znajome i tyle cię łączyło z niemi wspomnień! Przytulałaś jeszcze swą chusteczkę co chwila do oczu, i słyszałem tłumione twe łkania.

Milczałem, zbyt szanując twój żal dziecięcy.

Nareszcie spostrzegłszy dokoła pustą i obcą dla siebie okolicę, oświeconą w ponurej ciszy miesiącem, jakby przelekła drgnęłaś, i uchyłona trwożnym ruchem, spoczęła twą głową na mojem ramieniu i dłoń twą w mojem uczulem rękę, drżącą prawie konwulsyjnie, jakby szukającą w opuszczeniu tem podpory, w niebezpieczeństwie zagrażającym obrony, którą znajdowałaś jedynie we mnie i jedynego mnie, któremu mogłaś zaufać.

Mieliśmy przed sobą do przebycia stromą górę, której głęboki cień padał i zalegał w dole szerokim całunem. Konie zwolniły biegu...

Czy pamiętasz tę noc, Maryle?

I gdy powóz toczył się powoli, gdy, jak obłok, ten pomrok unosił się w krąg nas cienisty, przeciągnąłem mą rękę ostrożnie i złożyłem ją na twojej w rękawicze, a tyś ją zsunęła i podała mi obnażoną do uściśnienia.

— Kochasz mię, Maryle? wyszeptalem.

— Zły Zygmuncie...

Otarłaś ostatnią łezkę, przytuliłaś skroń twą do mojej i uściśnęłaś silniej rękę.

Tak w tym obłocznym cieniu, dosięgliśmy szczytu góry.

Czy pamiętasz tę noc?

Od tej chwili, zapomniałaś o wszystkim dla mnie.

Od tej chwili, zrównoważyły się nasze uczucia na zawsze.

Od tej chwili zaczęliśmy żyć dla siebie.

Do zorzy było jeszcze daleko, ale nocny chłód ku rozświetli. dawał się czuć więcej i, jak na zwiady, chwilami wietrzyk przemykał. Miesiąc raz wpływał na czysty błękit i oświecał całą okolicę, znów omglony, za chmurką wędrowną, na chwilę bladł jak lampa matowa. Gościniec, dalej szedł równy. Konie kłusowały, węgierskie dzwoneczki rozlegały się szeroko w czystej atmosferze...

Zaczęliśmy rozglądać się po okolicy i zynić spostrzeżenia nad naszą jazdą, zwracać uwagę na spotykane przedmioty. Rozmowa przybrała rytm zwykły, przyjacielskiej, prawie dziecinnej gawędki.

— Dzwoneczki te, doprawdy, jakby stworzone do takiego nocnego spaceru, tak brzęczą cudnie i szeroko ich dźwięk rozplywa się po polu.

— Jak szklannej harmonijki pod mistrzowskimi dźwiękami, zauważyłem. Inne dźwięki, zdaje się, zepsułyby nastrój tego nocnego koncertu, co się tak rozmarzył w swej drzemce.

I zaczęliśmy porównywać odcienia naszych dzwoneczków: Podczas jazdy szybszej i wolniejszej, gdy wjeżdżaliśmy pod górę i na równym polu; gdy konie szły sępo, dzwoneczki nasze brzęczały pocięchu, pocięchu...

Nad drogą, pochylony, z rozczepionymi konarami, stał dąb, którego część uschłych gałęzi w górze sterczała nagich...

— Stary! westchnęłaś; widzisz... jak wyciąga ręce w modlitwie może... może od bólu. Jacy ci starzy, biedni: Czy my postarzejemy? zaśmiałaś się i westchnęłaś.—Każ jechać prędzej! Daleko jeszcze?

Na szyi ci się rozwinęła twoja krepowa chusteczka... Odrzuciłaś kapiszon, stanęłaś w powozie i zawiązałaś ją znowu. Pamiętam ten szczegół dlatego, że ruch twój był wtedy arcydziełem zgrabności, szczytem zalotności niewieściej, tak wykwinął!

— Czy ty mnie kochasz?

— Kocham, kocham, odpowiedziałaś zupełnie jak na odczepne kapryśnemu dziecku.

A po chwili, położywszy swą dłoń na moich ustach:

— Pocałuj. Jak ja cię kocham! Ty wiesz o tem? czy może wątpisz?

— Nie wątpię, ale chciałbym słyszeć cię powtarzając to ciągle, ciągle...

I wrócił mi znowu do pierwszej rozmowy, uwag przerywanych.

— Jaką ty wolisz noc: taką jasną zupełnie, jak przed chwilą, czy ten niby-dzień, niby-noc, jak teraz? spytałem.

— Takie pomrocze—większe i łagodniejsze; odycham swobodniej i patrzę w niem śmieiej. Przy pełnym blasku miesiąca przejmuję mię strach i przychodzi na myśl straszna „Ucieczka“ Lenory...

— Miesiąc świeci, rycerz leci...

Rumak polem jak wiatr niesie,
Niesie lasem...

— Nie mów, nie mów! Ja się boję. Lepiej ci powiem, jak się mnie śmiesznie zdaje, że ta noc pogodna, stworzona i oddycha tylko dla nas takim rozkosznym powietrzem...

— I, że te drzewa wiedzą, że jedzie dwoje ludzi szczęśliwych i szeptać do siebie, że to my jedziemy... Prawda?

— Pewno!

— Marylo, kiedy ty mnie pokochałaś?

— Gdyśmy grali tego, poloneza Chopina poprzedzonego andante spianato; grałeś na skrzypcach, a ja ci akompanjowałam. Powiedziałeś, że jeszcze ci nikt nie akompanjował z takim uczuciem... A ty?

— Ja, odrazu, zobaczywszy twoje błękitne oczy, takie błękitne...

Wtem napędził nas pocztyljon wiozący sztafetę, który grał na trąbce i śpiewał. Miał widocznie konia, zmęczonego, bo jechał dość długo za nami, raz bliżej, drugi raz dalej. Skończywszy jedną piosnkę, zaczynał grać na trąbce, i znowu wracał do śpiewu. Jechał tak wiorst parę. Łąły się z ust chłopaka pieśni bez końca, jedna po drugiej. Gdy mu dokuczyła tęskna piosnka ludowa, urywał w połowie i jednym tempem przechodził do skocznej szumki albo krakowiaka. Dojeżdżawszy do bocznej od gościńca drożyny, zwrócił i popędził nią szkapę pocztową. Jeszcze długo dołatywały do nas wywodzone melodie jego. Głos jego zwolna milkł i rozplynał się w odległym gaju, ostatniem echem. I było nam obojgu, doprawdy, bardzo żal, rozstać się z tym pieśniarzem!

I jechaliśmy znowu dalej, spokojnie, jakiesmy nieraz jeździli przed ślubem w noce miesięczne.

Zagony mieniły się kolorami zbóż. Po polu tułały się gromadki rozrzuconych drzew, szchatki może po starych lasach, obce dziś wszystkiemu co ich otaczało; na rozoranej mogile wznosił się krzyż do połowy pochyłony... Mineliśmy kolonję czeską, z szeregiem jej czyściutkich domków, w uśpieniu...

Rozświt drżał ledwie brzaskiem na wschodzie bladym, przed królem nocy, płynącym ciągle w błękitach.

Wjechaliśmy w ulicę wysadzaną topolami, już na moje pola.

Jakże tu znowu dla mnie znajome było wszystko; wieleż, na każdym kroku, chwil dzieciństwa mego i dni młodzieńczych pamiątek, przyrosłych do każdej grudki tej ziemi! Z zamrużonemi oczyma, trafiłbym na skręt każdej ścieżki, każdą miedzę; rozpoznał w gaju każdy strumień po jego szmerze, drzewo po szeleście, psa po jego szczełaniu...

Wjeżdżamy do wsi.

Mijamy kościółek z gotyką wieżą i mieszkanie proboszcza, w bluszczach i malwach, z migoczącą

przed obrazem lampką w framudze; spuszcza się w wawóz, nad brzeg stawu, z kąd wzgórze, a na niem nasz zamek... Tak nazywano stary dwór na odwiecznem grodzisku zbudowany, pamiętający może jeszcze czasy hetmańskie... Po zamku nie dotrwało śladu, ale tradycja przechowała nazwę. Zostało płaskie wzgórze, zrównane z jednej strony z poziomem i wał obwodowy rozspany, z wjazdowym na zamek mostem, niegdyś zapewne, zwodzonym, przez wyschłą fosę.

— To dom nasz. O czem się tak zamyślałaś, Marylo?

— Ze jesteśmy tak bardzo szczęśliwi, Zygmuncie...

— I zawsze będziemy szczęśliwi!

— Jak nam tu będzie dobrze!

— Okna twoich pokoi wychodzą na staw. Z góry widać całą okolicę...

Od zamku oddziela już nas tylko wał i za nim aleja kasztanowata do głównego dziedzińca.

— Daleko jeszcze?... czy już widać światła? Widać! widać! zawołałaś radośnie.—Czego on tak pędzi! każ jechać wolniej... jedźmy pomału. Czy daleko jeszcze?

Jedziemy noga za nogą. Na wstrząśnięcie łba końskiego, ledwie dzwoneczek który jęknął.

Cisza dokoła... Żaden listek nie ruszy się. Tylko gdzieś pies na wsi zawyje na wiatr żałośnie, odezwie się derkacz zlekły własnym echem, spłoszona dzika kaczka w oczerecie zerwie się na stawie...

Cielcho.

Zbliżamy się, jak cienie. Próżnia nawet mostu nad fosą nie zadudni, przez który wjeżdżamy w puszcę drzew świerkowych w dziedzińcu, w klombach kwiatów, od spadłej rosy odorczających zapachem. U krynicy marmurowy posąg Hebe, jedyna postać... Żywego ducha! Pod promieniami miesiąca, zdaje się, w śnie wiecznym pogrążone wszystko.

Nie śpieszymy z przybyciem, a serca nasze uderzają tak niecierpliwie! Jakbyśmy w wzajemnem porozumieniu, chcieli tę rozkoszną chwilę, zbliżającą nas do kresu naszej podróży, przewlec do nieskończoności, zamrzeć w naszej piersi skarbem zaklętym i przechować w niej nazawsze. Zdaje się nam, że się zbliżamy do jakiegoś przybytku zaludnionego duchami, które krążą nad nami, snują się dokoła, czepiają gałęzi i gzemsów, pełzają po gazonach w postaci robaczek świętojańskich, wlatują w powietrze.

Z dłońmi splecionymi w uścisku wspólnym, jedziemy, wsłuchani w tę ciszę...

Ta chwila błoga w progach mego rodzinnego domu, była najuroczystsza, najświętsza, najszcześliwsza w mem życiu.

Czemż nie danem mi było czynienie cudów, że bym ją skamienił i przechował, jak kwiat w burzynie, nazawsze!

Czy pamiętasz tę noc?

Nasze serca złąły się jeduym akordem, nieujętego żadnym głosem, dźwięku najwyższego pianissimo uczuć...

Ale była to chwila, tak przelotna!

Nagle stangret uderzył z bata, powóz z hukiem i brzękiem, zatrzymał się przed zamkiem.

Wybiegła służba i cały dom zawrzał ruchem.

Podaliśmy ci me ramię i przeprowadziłem przez progi mego rodzinnego domu.

Czy pamiętasz tę noc?

Ja pamiętam wszystko... Od kościółka niewodnickiego, do świec woskowych w ołtarzu i bladej twarzy księdza do naszej poślubnej podróży strasznej, do ostatniej lzy starego ojca, do grobowej cizy, jaką powitał nas mój zamek, aż do progu drzwi naszego domu.

Kronika działalności kobiecej.

— Pani L. Kotarbińska założyła w Krakowie przed dwoma laty „Szkołę artystycznego przemysłu dla kobiet.“ Działalność tej szkoły pomyślnie rozwija się dalej, stała się źródłem nowej gałęzi zarobku dla licznych zastępu uczennic, dodatnie zaś owoce pracy skłoniły Wydział krajowy do przyznania p. Kotarbińskiej subweneyi na dalsze prowadzenie i rozwijanie pożytecznej instytucji. To też kierowniczka szkoły podwoiła swe usiłowania, aby zakład coraz lepiej się rozszerzał, zyskiwał stałe podstawy i mnożył działy artystycznych studyów. Przepędziwszy wakacje na zwiedzaniu podobnych zakładów w Berlinie, Paryżu, Dreźnie i Norymberdze, p. Kotarbińska obeznała się z postępem i metodą nauki przemysłu artystycznego i wprowadziła z nowym kursem w swej szkole działy następujące: 1) Zakopańskie wyrzynanie na drzewie: 2) wytłaczanie na skórce; dział pierwszy wedle systemu szkoły w Zakopanem, drugi, wedle zakładu Halbego w Berlinie. W szkole p. Kotarbińskiej wykonywają się przedmioty artystyczne jak: rysunki i malowidła na płótnie i drzewie, wzory wypalania na drzewie i skórce, i mnóstwo eleganckich przedmiotów sztuki stosowanej, a uznanie jakie sobie zyskały od znawców oraz nieustanny na nie pobyt w handlu, stają się podstawą bytu dla dużego już grona młodzieńskich pracowni.

— Panna Flora Ogórkówna, Lwowianka, jest pierwszą kobietą studiującą w uniwersytecie Lwowskim medycynę. Pomimo jednak matury gimnazjalnej jest dopuszczoną tylko jako hospitantka. Niedaleka przyszłość jednakże, wedle ministeryalnych wieści z Wiednia uprawni studia kobiet w zupełności.

— W Anglii, w Maidenheads, Sarah Andersen, rozpoczęła szereg popularnych odczytów dla kobiet pracujących, o pielęgnowaniu dzieci, wentylacji mieszkań, ubraniu, znaczeniu czystości i t. p. Na pierwszy odczyt przybyły głównie robotnice z tamtejszych fabryk.

— Na dochód Stowarzyszenia pomocy naukowej dla kobiet im. Kraszewskiego w Krakowie, obiecały swe odczyty, (oprócz dawniej zgłoszonych, pannie: D-r Barbara Burbo, D-r Elżbieta Downarowicz, D-r Anna Wyczołkowska; odczyty rozpoczyna się między 8, a 12 Grudnia prelekcją pani D-r Anny Tomaszewicz-Dobroskiej, której treścią jest rodzaj alegorycznego obrazu zatytułowanego: „Legenda o wyzwoleniu niewiast.“ Kasa Stowarzyszenia liczy bardzo na dochód z szeregu tych odczytów, bo na razie, jej fundusze są jeszcze tak nie wielkie, że rozporządźwszy nimi z biegiem roku nie mogła zadość uczynić dwóm podaniem ukończonych studentek uniwersytetu, którym już tylko pozostaje napisanie tezy do uzyskania dyplomu.

— Lekarzem emira Afganistanu jest panna Hamilton. W roku zeszłym przybyła do Anglii i pobyt w swej ojczyźnie spożytkowała na badanie instytucji szczepienia ospy. Za powrotem do Kabulu przedstawiła Emirowi zbawienne skutki szczepień ochronnych w kraju, gdzie co roku piąta część dzieci na ospę umiera. Emir zezwolił na zbudowanie dwóch stajni dla krów, z których brana jest limfa. Miss Hamilton urządziła też w Kabulu aptekę, w której po 350—450 chorych dziennie otrzymuje lekarstwa. W przygotowywaniu ich pomaga Miss Hamilton jej przyjaciółka, którą przywiozła ze sobą z Anglii.

— Panna Marya Raschke, literatka i znana mowczyni głośna przeciwniczka nowego kodeksu cywilnego w Niemczech przyjętą została jako „zwyczajna“ słuchaczka praw na uniwersytecie w Berlinie, gdy 40 innych kobiet pracuje na różnych wydziałach tylko jako hospitantki.

— Pp. Teodora z Opmannów-Mączkowska i Matylda Idzkowska, uzyskały bakalaureat z nauk fizycznych na wydziale przyrodniczym uniwersytetu genewskiego.

— W Amsterdamie zdobyła nagrodę na konkursie Towarzystwa matematycznego p-na Gertruda Wythof, już po raz trzeci tak odznaczona, co tem osobliwsze, że wiedzę swoją zawdzięcza jedynie wła-

snej pracy, gdyż do żadnego wyższego zakładu naukowego, po ukończeniu zwykłej pensji, nie uczęszczała.

— W Berlinie, odbyła się w ratuszu przy licznych współudziale publiczności sympatyczna uroczystość rozdania premii między służące, które długo i wiernie u jednych chlebobawców służyły. Przez lat 30, 25, nawet 20, pracować codzień od rana do nocy, prac, gotować, sprzątać, usługiwać, biegać po schodach, często i niedospać, to istotnie dużej zasługi działalność, niby niewidzialna, nierozgłoszona, przyczyniająca się w niejednej rodzinie do spokoju moralnego i oszczędności, tembardziej że nagrodzone służące są to przeważnie t. zw. „do wszystkiego“, a jest ich około 30. Nagrody stanowiły podarki w przedmiotach, książkach, pieniądzech do 30 marek i dyplomach. Stanowczo, nagrody za małe! Najwyższy datek 30 m. za 30 lat służby, cóż to za porównanie zasługi z nagrodą!

— Pani Lina Morgenstern, pierwsza przewodnicząca kongresu międzynarodowego kobiet w Berlinie i jego główna inicjatorka doznała obecnie bardzo serdecznego zadowolenia z powodu owacyi dzieł czynnej jaką jej urządziły berlińskie kobiety, wybierając na to 66 rocznicę urodzin zasłużonej przewodniczki ruchu niewieściego. W dniu 26 Listopada, zjawiła się w mieszkaniu pani Morgenstern deputacya pań z osób 30, ze śpiewem, podarkunkiem i adresem. Podarek stanowi wspaniały fotel, kryty gobelinem roboty 50 pań, z monogramem kongresu, i wieńcem róż na błękitnym tle. Cały fotel okręcony był girlandą laurową. Adres ko- ztownie oprawny, zawierający poezję panny Jenny Hilde-sheimer i 50 podpisów brzmi w streszczeniu jak następuje: Pani Linie Morgenstern, pierwszej przewodniczce międzynarodowego kongresu dla prac i usiłowań kobiet. Czeigodna Panie! pozwólcie abyśmy za owocodajne wasze usiłowania dla nas wyraziły najgorętsze i najszerzsze dzięki. Przez nie-strudzoną waszą działalność na polu humanitarnem i dla kobiecej sprawy gromadziłaś Pani zdobycz do zdobyczy. Zgromadzenie jednak liczne zastępu niewiast ze wszystkich stron świata, na naszej ziemi, w jednym doniosłym celu, zjednało ci uznanie prawdziwe międzynarodowe. My mieszkanki Berlina przedewszystkiem czujemy się przepełnione wdzięcznością i przynosimy ci w darze pamiątkowym wspólną naszą pracę jako słaby dowód naszych uczuć, i o przyjęcie takowej prosimy. Inna deputacya wręczyła pod przewodnictwem pań Dory Bauer i Maryanny Rosenberg wspaniałą wiązkę kwiatów od berlińskiego Hausfrauenvereinu. Istotne zasługi szanownej weteranki kobiecego ruchu umysłowego i praktycznego przynoszą jej teraz miłe sercu uznanie.

Z bieżącej chwili.

— Ministerium komunikacji zamierza zrewidować przepisy o ruchu pociągów i ustanowić dla każdej kolei przepisy oddzielne i stosownie do używanego przez nich systemu sygnałowego.

— W teatrze miejskim w Krakowie, odbyło się dnia 14 b. m. przedstawienie uroczyste ku czci Adama Asnyka. Teatr był przepełniony. Wchodzącego do sali Asnyka publiczność powitała, stojąc, oklaskami. Przedstawienie rozpoczęła uwertura „Halki“ Moniuszki, poczem nastąpiła kantata Żeleńskiego, odśpiewana przez chór „Lutni“ pod batutą kompozytora. P. Gutman-Kwiecińska od-

śpiewała pieśń Żeleńskiego do słów Asnyka: „Zaczarowana królowna“ i „Gdy ostatnia róża zwiędła“, oraz pieśni Zarzyckiego do słów Asnyka „Różne łyzy“ i „Między nami nie nie było.“ Kotarbiński deklamował wiersz Asnyka. Przedstawienie zakończyła „Komedia konkursowa“ Asnyka. Artystów przyjmowano rzesistemi oklaskami. Po przedstawieniu odbyła się kolacya, na którą przybyło około stu osób z damami. Delegaci ze Lwowa przywieźli dyplomy na członka honorowego Towarzystwa literackiego i dziennikarzy. Asnykowi wręczono adres opatrzone tysiącami podpisów. Toast wznosił Balasits, rektor uniwersytetu lwowskiego.

— W Paryżu zmarł w 76 roku życia Rogaund, autor słynnej za cesarstwa broszury p. t. „Les propos de Labienus.“ Rogaund, który był wykształconym filologiem napisał w 1865 roku ten pamflet, w którym pod formą klasyczną w przenośnych aluzjach wytoczył proces cesarzowi Napoleonowi III-mu. Autora skazano, ale uzyskał popularność i sławę. W tych dniach zmarł w zapomnieniu.

— O najnowszym zastosowaniu promieni Röntgena, pisze „La Nature.“ Pewien Amerykanin kupił części mumii egipskich, o których autentyczności wątpili jego przyjaciele. Jeden z nich nawet utrzymywał, że ręka mumii jest doskonałym naśladownictwem ze starego materiału, na którym naznaczono zreżnię paznokiecie. Chcąc dowieść, iż ręka jest prawdziwą, Amerykanin kazał ją przeświecić promieniami Röntgena; próba powiodła się znakomicie—kości ręki można było wyraźnie rozpoznać.

— Czasopismo *The Chicago Tribune* zamierzyło rozesłać na gwiazdkę ubogim dzieciom lalki. W tym celu zaprosiło czytelniczki swoje, aby zajęły się ubraniem lalek, które im rozeszle. Zgłosiło się wiele pań i panien, że podejmują się ustroić lalki, niektóre pobrały po 25 lalek naraz. Modrzejewska zgłosiła się także z oświadczeniem, że ustroi lalkę jako Polkę (krakowiankę). Licząc na to, że lalka będzie ślicznie ubrana, *Tribune* ogłosił, że lalki tej nie poszle, lecz ją sprzeda drogą licytacyi, a za cenę kupna nabędzie inne lalki na rzecz ubogich dzieci. Niezwłocznie czytelnicy *Tribune* zaczęli przysyłać oferty na lalkę Modrzejewskiej, choć jeszcze nieustrojona. Najwyższą dotąd cyfrę przysłał W. I. Lloyd z Centerville In., dając za niewidzianą lalkę dolarów 10.

— Według depeszy, otrzymanej w Bremie przez północno-niemiecki Lloyd, w pobliżu Villagarcia zatonał parowiec „Salier.“ Załoga statku składała się z 66 marynarzy i 210 podróżnych, między którymi znajdowało się 35 osób z Galicyi. Zachodzi obawa, iż nikt nie ocalał.

M Y Ś L I

Nie pomogą próżne żale
Ból swój niebu trza polecić,
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść—i świecić.

A. Asnyk.

Nasze złudzenia są jak liście na drzewach: latem, unosi je burza, w późniejszej porze—opadają same.

A. M. Valtour.

Kto chce mnie sądzić, we mnie, być musi, nie ze mną.

Mickiewicz.

Cyrkle, miary i wagi
Do martwych stosuj brył—
Mierz siłę—na zamiary,
Nie zamiar według sił!

Tenże.

Odpowiednio do tego czy są dobrymi lub złymi, obyczaje bywają sojusznikami moralności, zastępują prawa, albo też uiszczą je całkowicie.

Burke.

W wiekach średnich do wypędzania złych duchów potrzebowano dzwonka, książki i świecy. Dziś wystarczają: książka i świeca.

H. B. Gausseron.

Przeszłość jest władczynią przyszłości.

Jules Simon.

Pomiędzy prawami i zwyczajami taka zachodzi różnica, że prawa kierują więcej postępami obywatela, zwyczaje zaś postępami człowieka. Pomiędzy zwyczajami a manierami taka jest różnica, iż pierwsze dotyczą więcej postępowania wewnętrznego, drugie zaś zewnętrznego.

Monteskiusz.

NOWE KSIĄŻKI.

Pawłowski Adolf, prof. Michał Gröll. Obrazek na tle epoki Stanisławowskiej z dodaniem opisu wydawnictw Gröll'a, ułożonego przez Zygmunta Wolskiego. Kraków, 1897. — 80

Prażmowska Teresa. Serce. Powieść dla dorastającej młodzieży. Warszawa, 1896. W kartonie. 1 50
W oprawie. 1 80

Przyborowski Walery. Madejowe łożo. Opowiadanie historyczne z XI wieku. Z 6 rysunkami Tad. Cieślowskiego. Warszawa, 1897. W kartonie. 1 20
W oprawie. 1 70

Richebourg Emil. Na Golgotę. Gródek, 1896. 1 50
Sempolowska S. i Unsichtówna J. Zbiorek powiastek, opowiadań, wierszyków i ćwiczeń dla dzieci od lat 7-miu do 9-ciu. Warszawa, 1896. — 60
W karton. — 75

Świętochowski Aleksander. Pisma. I. Obrazki powieściowe. Kraków-Warszawa. 1 50

Taine H. Filozofia sztuki. Przełożył, przypiskami i skorowidzem opatrzył Antoni Sygietyński. Warszawa. 1 80

Zaleska M. J. Bajeczki prawdziwe. Podług Zuzanny Kornaz, przełożonej ogródka dziecinnego w Genewie, opowiedziana dziatwie ... Wydanie trzecie z 6 obrazkami kolorowanymi rysunku Ilinicza. Warszawa, 1897. W kartonie. — 30

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: ark. 2 powieści p. t. **Siostry**. Przełożyła Z. S.

TREŚĆ: Od redakcyi.—Smutno mi Boże! przez M. B. — Lubrańce, powieść, przez Znicza (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego.—Wspomnienie ślubu. Opowiadanie Ad. Mielezki.—**Kronika działalności kobiecej.** — **Z bieżącej chwili.** — **Mysli.** — **Nowe książki.**

Dodatek obejmuje: **Siostry**, powieść. Przełożyła Z. S., arkusz 2. — Przegląd mód. 29 wzorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**